

MISTRZ ROMANTYCZNYCH HISTORII

NICHOLAS SPARKS

JEDNO ŻYCZENIE



ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE WISH

Copyright © Willow Holdings, Inc. 2021
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Anna Dobrzańska 2022

Redakcja: Anna Walenko

Zdjęcia na okładce: © Ashrafu! Arefin/Arcangel Images (*lampion*),
Benjamin Behre/Unsplash.com (*t!o*)

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek/Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



TO JEST CZAS

Manhattan

Grudzień 2019

Z nadejściem grudnia Manhattan zmieniał się w miasto, które Maggie nie zawsze rozpoznawała. Tłumy turystów ciągnęły na broadwayowskie sztuki i kłębiły się na chodnikach przed domami towarowymi w Midtown, tworząc płynącą leniwym nurtem rzekę pieszych. Butiki i restauracje pełne były ludzi obładowanych torbami, z ukrytych głośników płynęła bożonarodzeniowa muzyka, a hotelowe hole skrzyły się od świątecznych dekoracji. Choinkę przed Rockefeller Center rozświetlały wielobarwne światełka i błyski tysięcy iPhone'ów, a ulice, na których ruch nigdy nie jest specjalnie płynny, korkowały się do tego stopnia, że szybciej można było dotrzeć gdzieś pieszo, niż złapać taksówkę. Ale chodzenie również miało swoje minusy: żeby uchronić się przed lodowatym wiatrem, który hulał często między budynkami, należało mieć na sobie bieliznę termoaktywną, ciepły polar i kurtkę zapiętą pod szyję.

Maggie Dawes, która uważała się za wolnego ducha,

trawionego żądzą podróżowania, uwielbiała obraz nowojorskich świąt, jaki zwykle widuje się na pocztówkach. W rzeczywistości, podobnie jak większość nowojorczyków, robiła, co mogła, żeby w tym okresie unikać Midtown. Dlatego albo siedziała w swoim mieszkaniu w dzielnicy Chelsea, albo – znacznie częściej – uciekała do cieplejszych krajów. Będąc fotografką podróżniczą, często myślała o sobie nie jak o nowojorzance, ale jak o nomadce, która tylko przypadkiem miała swój stały adres w tym mieście. W notatniku, który trzymała w szufladzie szafki nocnej, zgromadziła listę ponad setki miejsc, gdzie wciąż chciała pojechać. Niektóre z nich były tak ukryte lub odległe, że samo dotarcie do nich stanowiłoby niemałe wyzwanie.

Odkąd dwadzieścia lat temu ukończyła college, sukcesywnie skreślała z listy kolejne miejsca i dopisywała inne, które z tego czy innego powodu rozpały jej wyobraźnię. Z aparatem zawieszonym na ramieniu odwiedziła każdy kontynent, przeszło osiemdziesiąt dwa kraje i czterdzieści trzy z pięćdziesięciu stanów. Zrobiła dziesiątki tysięcy zdjęć, od fauny i flory delty Okawango w Botswanie po zdjęcia zorzy polarnej w Laponii. Miała fotografie z podróży Szlakiem Inków, z Wybrzeża Szkieletowego w Namibii i ruin Timbaktu. Dwanaście lat temu nauczyła się nurkować z akwalungiem i przez dziesięć dni dokumentowała podwodne życie w Raja Ampat. Cztery lata temu odwiedziła Paro Taktsang, czyli Tygrysie Gniazdo, buddyjską świątynię wybudowaną na klifie w Bhutanie, z panoramicznymi widokami na Himalaje.

Inni często zachwycali się jej przygodami, ona odkryła

jednak, że „przygoda” to słowo o wielu konotacjach i że nie wszystkie z nich są pozytywne. Dobrym przykładem była jej obecna przygoda – czasami tak właśnie opisywała ją swoim followersom na Instagramie i subskrybentom na YouTube – przez którą zamiast jeździć po świecie, siedziała w swojej galerii albo w swym niezbyt dużym trzypokojowym mieszkaniu przy Zachodniej Dziewiętnastej Ulicy. Ta sama przygoda, przez którą od czasu do czasu nachodziły ją myśli samobójcze.

Oczywiście nigdy by czegoś takiego nie zrobiła. Przerażała ją ta myśl, do czego przyznała się w jednym z licznych filmików, które zamieszczała na YouTube. Przez prawie dziesięć lat jej nagrania nie różniły się niczym od nagrań innych fotografów: mówiła o tym, co zdecydowało, że zrobiła takie, a nie inne zdjęcie, pokazywała, jak używać Photoshopa, testowała i oceniała nowe aparaty i akcesoria i zwykle wrzucała dwa, trzy posty miesięcznie. Filmiki na YouTube, posty na Instagramie i Facebooku, a także prowadzony przez nią blog cieszyły się sporym zainteresowaniem miłośników fotografii i umacniały jej pozycję profesjonalistki.

Tymczasem trzy i pół roku temu, ni stąd, ni zowąd, zamieszczała na swoim kanale na YouTube wideo dotyczące ostatniej diagnozy, która nie miała nic wspólnego z fotografią. Nagranie – rozwlekły opis strachu i niepewności, jakie poczuła, dowiedziawszy się, że ma czerniaka czwartego stopnia – prawdopodobnie w ogóle nie powinno było trafić do sieci. Lecz coś, co – jak sądziła – będzie samotnym głosem, który odbity echem wróci do niej z pustych czeluści internetu, przyciągnęło

uwagę innych. Nie wiedziała, jak ani dlaczego, ale nagranie to – spośród wszystkich zamieszczonych przez nią w sieci – doczekało się strużki, strumienia, a w końcu prawdziwej rzeki opinii, komentarzy, pytań i lajków od ludzi, którzy nigdy w życiu nie słyszeli ani o niej, ani o tym, czym się zajmuje. Czując, że powinna odpowiedzieć tym, których poruszyła jej trudna sytuacja, zamieściła kolejne wideo – i zyskało ono jeszcze większą popularność. Od tej pory, mniej więcej raz w miesiącu, wrzucała do sieci nagrania w podobnym tonie, głównie dlatego, że czuła, że nie ma wyboru. W ciągu ostatnich trzech lat opisywała rozmaite terapie i to, jak się po nich czuje, a czasami pokazywała nawet blizny po operacji. Mówiła o oparzeniach po radioterapii, o nudnościach i wypadaniu włosów, a także otwarcie zastanawiała się nad sensem życia. Opowiadała o strachu przed śmiercią i spekulowała na temat życia po śmierci. Były to poważne problemy, lecz chcąc odsunąć od siebie czarne myśli, starała się nadać swoim nagraniom jak najlżejszy ton. Podejrzewała, że po części właśnie dlatego były tak popularne. Chociaż kto to mógł wiedzieć? Pewne było tylko to, że jakimś sposobem, niemal wbrew sobie, stała się gwiazdą własnego internetowego reality show, które – mimo początkowej nadziei – powoli skupiało się na rzeczy ostatecznej i nieuchronnej.

I – czego można chyba było się spodziewać – w miarę jak zbliżał się wielki finał, przyciągało coraz większą widownię.

*

Na pierwszym „Rakowym wideo” – nazywała je tak w

odróżnieniu od „Prawdziwych nagrań” – patrzyła w kamerę z cierpkim uśmiechem i mówiła: „Nienawidziłam go, za to ja najwyraźniej podobałam mu się coraz bardziej”.

Wiedziała, że to kiepski dowcip, ale cała ta sytuacja wydawała się jej absurdalna. Dlaczego ona? Miała wtedy trzydzieści sześć lat, regularnie ćwiczyła i w miarę zdrowo się odżywiała. W jej rodzinie nie było przypadków raka. Dorastała w pochmurnym Seattle, potem mieszkała na Manhattanie, a więc nie miała jak i gdzie się opalać. Nigdy nie odwiedziła solarium. Wszystko to było bezsensowne, ale przecież taki właśnie jest rak, prawda? Rak nie wybiera; po prostu przytrafia się pechowcom. W końcu uznała, że właściwe pytanie powinno brzmieć: Dlaczego NIE ona? Nie była przecież nikim wyjątkowym. Bywało, że uważała się za ciekawą, inteligentną, a nawet atrakcyjną, ale słowo „wyjątkowa” nigdy nie przyszło jej do głowy.

W dniu, w którym usłyszała diagnozę, mogłaby przysiąc, że jest zdrowa jak ryba. Miesiąc wcześniej odwiedziła wyspę Vaadhoo na Malediwach, gdzie zrobiła sesję fotograficzną dla wydawnictwa Condé Nast. Poleciała tam z nadzieją, że uda jej się uchwycić bioluminescencję, która sprawia, że wody oceanu lśnią jak rozgwieżdżone niebo, jakby coś rozświetlało je od środka. Za to zjawisko odpowiada fitoplankton i Maggie poświęciła dodatkowy czas, żeby zrobić zdjęcia, które mogłaby sprzedać w swojej galerii.

Wczesnym popołudniem szła po niemal wyludnionej plaży niedaleko hotelu, z aparatem w dłoni, próbując wyobrazić sobie zdjęcia, które zamierzała zrobić z nadejściem nocy. Chciała

uchwycić linię brzegową – może z jakimś głazem na pierwszym planie – niebo i oczywiście fale. Już ponad godzinę robiła zdjęcia pod różnymi kątami i z różnych miejsc na plaży, gdy minęła ją jakaś para trzymająca się za ręce. Maggie, pochłonięta pracą, ledwie ich zauważyła.

W pewnej chwili, kiedy oglądała przez wizjer miejsce, w którym fale rozбивały się o brzeg, usłyszała za sobą kobiecy głos. Kobieta mówiła po angielsku z silnym niemieckim akcentem.

– Przepraszam – odezwała się. – Widzę, że jest pani zajęta, i proszę wybaczyć, że przeszkadzam.

Maggie opuściła aparat.

– Tak?

– Nie chcę się wtrącać, ale czy badała pani ten ciemny pieprzyk na łopacie?

Maggie ściągnęła brwi i obróciła głowę, bezskutecznie próbując dostrzec między ramiączkami kostiumu kąpielowego znamie, o którym mówiła kobieta.

– Nie wiedziałam, że mam tam jakiś pieprzyk... – Zmrużyła oczy i z zakłopotaniem spojrzała na tamtą. – Dlaczego to panią ciekawi?

Kobieta pokiwała głową. Z siwymi krótkimi włosami wyglądała na jakieś pięćdziesiąt lat.

– No tak, powinnam się przedstawić. Nazywam się Sabine Kessel. Jestem dermatologiem z Monachium. Ten pieprzyk nie wygląda dobrze.

Maggie zamrugnęła gwałtownie.

– Ma pani na myśli raka?

– Nie wiem – odparła Sabine Kessel. Minę miała poważną. – Ale na pani miejscu zbadałabym go jak najszybciej. Oczywiście może się okazać, że to nic wielkiego.

Nie musiała dodawać, że może być wręcz przeciwnie.

Choć zrobienie idealnego zdjęcia zabrało jej pięć wieczorów, Maggie była zadowolona. Później podda je obróbce cyfrowej – to głównie na niej opiera się dzisiejsza fotografia – ale już wiedziała, że efekty będą spektakularne. Jednocześnie, choć starała się tym nie przejmować, umówiła się na wizytę u doktora Snehala Khatriego, dermatologa na Upper East Side, zaledwie cztery dni po powrocie do miasta.

Na początku lipca 2016 roku pobrano jej próbkę tkanki i wysłano do badania. Później, w tym samym miesiącu, w szpitalu Memorial Sloan Kettering wykonano jej rezonans magnetyczny, MRI, i pozytonową tomografię emisyjną, PET. Gdy przyszły wyniki, doktor Khatri zaprosił Maggie do gabinetu, gdzie spokojnym, poważnym głosem poinformował ją, że ma czerniaka czwartego stopnia. Tego samego dnia poznała onkolożkę, doktor Leslie Brodigan, która miała nadzorować leczenie. W następstwie tych spotkań Maggie postanowiła na własną rękę poszukać informacji w internecie. Mimo zapewnień doktor Brodigan, że jeśli chodzi o indywidualne przypadki, ogólne statystyki są bez znaczenia, Maggie nie mogła nie zwrócić uwagi na liczby. Wśród pacjentów, u których zdiagnozowano czerniaka czwartego stopnia, wskaźnik przeżywalności po pięciu latach wynosił niecałe piętnaście procent.

Następnego dnia Maggie, wciąż jeszcze oszołomiona,

nagrała pierwsze „Rakowe wideo”.

*

Podczas ich drugiego spotkania doktor Brodigan – pełna energii niebieskooka blondynka, wyglądająca jak okaz zdrowia – jeszcze raz wyjaśniła wszystko Maggie, która przy pierwszej wizycie była tak przybita, że pamiętała ją jak przez mgłę. Krótko mówiąc: czwarty stopień czerniaka oznaczał, że rak objął nie tylko węzły chłonne, ale też inne narządy; w przypadku Maggie wątrobę i żołądek. Badania MRI i PET wykazały, że komórki rakowe atakują zdrowsze części jej ciała niczym armia mrówek pożerająca jedzenie leżące na stole piknikowym.

Kolejne trzy i pół roku upłynęło pod znakiem leczenia, powrotu do zdrowia i – od czasu do czasu – przebłysków nadziei rozświetlających mroczne tunele pełne lęków i obaw. Przeszła operację usunięcia zaatakowanych węzłów chłonnych i przerzutów w wątrobie i żołądku. Po operacji nastąpiła koszmarna radioterapia, od której skóra Maggie miejscami zrobiła się czarna, a na jej ciele pozostały paskudne blizny, pasujące do tych, które miała już po operacji. Dowiedziała się również, że istnieją różne rodzaje czerniaka, nawet czwartego stopnia, i wymagają różnych metod leczenia. W jej przypadku oznaczało to immunoterapię, która przez kilka lat zdawała się działać, aż w końcu przestała. W kwietniu zaczęła się chemioterapia, trwająca miesiącami. Maggie nienawidziła jej i tego, jak się po niej czuła, ale żyła w przekonaniu, że musi być ona skuteczna. Jak mogła nie być, skoro najwyraźniej

zabija wszystko inne w jej ciele? – zastanawiała się. Ostatnio ledwie rozpoznawała się w lustrze. Jedzenie niemal ciągle wydawało jej się zbyt gorzkie albo zbyt słone, przez co nie miała apetytu i straciła na wadze prawie dziesięć kilogramów. Jej owalne brązowe oczy zapadły się i były teraz jakby za duże nad wystającymi kośćmi policzkowymi, a twarz przypominała czaszkę obciągniętą skórą. Było jej wiecznie zimno i chodziła w grubych swetrach, nawet w przegrzonym mieszkaniu. Straciła swoje ciemnobrązowe włosy, a nowe odrastały kępkami, nieco jaśniejsze i cienkie jak u niemowlaka; prawie zawsze nosiła na głowie chustkę albo czapkę. Szyję miała tak chudą, że owijała ją szalikiem, żeby nie widzieć jej w lustrze.

Nieco ponad miesiąc temu, na początku listopada, kolejny raz wykonano jej tomografię komputerową i PET, a w grudniu spotkała się z doktor Brodigan. Tym razem onkolożka była nieco bardziej przygaszona, a jej oczy wyrażały bezbrzeżne współczucie. Poinformowała Maggie, że choć trwająca ponad trzy lata terapia czasami spowalniała postęp choroby, tak naprawdę nigdy jej nie zatrzymała. Na pytanie Maggie, czy można to jeszcze jakoś inaczej leczyć, lekarka delikatnie dała jej do zrozumienia, że powinna cieszyć się czasem, który jej pozostał.

W ten oto sposób poinformowała ją, że niedługo umrze.

*

Maggie otworzyła galerię przeszło dziewięć lat temu, wraz z artystą o pseudonimie Trinity, który wykorzystywał większą

część przestrzeni na swoje ogromne eklektyczne rzeźby. Trinity naprawdę nazywał się Fred Marshburn. Poznali się na otwarciu wystawy innego artysty, na które Maggie akurat poszła, choć rzadko brała udział w takich wydarzeniach. Trinity był już wówczas szalenie popularny i od dawna zastanawiał się nad otwarciem własnej galerii, ale nie miał ochoty nią zarządzać ani nie zamierzał w niej przesiadywać. Ponieważ się polubili, a ich prace w żaden sposób nie wchodziły sobie w drogę, w końcu się dogadali. Za zarządzanie galerią Maggie otrzymywała skromną pensję i mogła również wystawiać swoje fotografie. W tamtym czasie chodziło bardziej o prestiż – mogła mówić ludziom, że ma własną galerię! – a nie o pieniądze, które płacił jej Trinity. W ciągu pierwszych dwóch lat sprzedała tylko kilka swoich prac.

Ponieważ wciąż dużo podróżowała – zwykle spędzała na walizkach ponad sto dni w roku – zarządzanie galerią spadło tak naprawdę na Luanne Sommers. Kiedy Maggie ją zatrudniła, Luanne była zamożną rozwódką z dorosłymi dziećmi. Jej doświadczenia zawodowe ograniczały się do amatorskiego kolekcjonerstwa i wyszukiwania okazji w sklepach Neiman Marcus. Do jej niewątpliwych atutów należało to, że dobrze się ubierała, była odpowiedzialna, sumienna, chętna do nauki i nie przeszkadzało jej, że zarabia nieco poniżej średniej krajowej. Jak to ujęła, alimenty, które płacił jej były mąż, wystarczyłyby, żeby do końca życia pławiła się w luksusach, ale jak długo można chodzić na lunchy i nie ześwirować?

Luanne okazała się urodzoną sprzedawczynią. Na początku Maggie zapoznała ją z technicznymi elementami wszystkich

swoich prac i opowiedziała pokrótce historię każdej z nich, co często interesowało kupców w równym stopniu jak samo zdjęcie. Rzeźby Trinity’ego, wykonane z rozmaitych materiałów – płótna, metalu, plastiku, kleju i farby, a także przedmiotów znalezionych na złomowiskach, jelenich rogów, słoików i puszek – były wystarczająco oryginalne, by wzbudzać ożywione dyskusje. Trinity był ulubieńcem krytyków, a jego prace sprzedawały się regularnie, mimo niebotycznych cen. Galeria rzadko reklamowała i wystawiała dzieła innych artystów, więc praca tutaj była raczej spokojna. Zdarzały się dni, gdy klientów można było zliczyć na palcach jednej ręki, a na trzy ostatnie tygodnie roku galerię zamykano. Dla Maggie, Trinity’ego i Luanne taki układ sprawdzał się przez długi czas.

Wydarzyły się jednak dwie rzeczy, które wszystko zmieniły. Po pierwsze, „Rakowe wideo” Maggie przyciągnęło do galerii nowych ludzi. Nie zapalonych miłośników sztuki współczesnej czy fotografii, lecz turystów z takich miejsc jak Tennessee czy Ohio, ludzi, którzy śledzili Maggie na Instagramie i YouTube, ponieważ czuli się z nią związani. Niektórzy zostali fanami jej fotografii, lecz większość chciała ją poznać i kupić na pamiątkę jej pracę, z autografem. Rozdzwoniły się telefony z zamówieniami z całego kraju, a kolejne spływały przez stronę internetową. Maggie i Luanne nie nadążały z ich realizacją i w zeszłym roku postanowiły nie zamykać galerii przed świętami. Potem Maggie dowiedziała się, że niebawem rozpocznie chemioterapię, a to znaczyło, że przez kilka miesięcy nie będzie mogła pomagać w galerii. Było oczywiste, że muszą zatrudnić dodatkowego

pracownika. Gdy poruszyła ten temat w rozmowie z Trinitym, natychmiast się zgodził. Los sprawił, że następnego dnia młody mężczyzna, niejaki Mark Price, wszedł do galerii i poprosił o rozmowę z Maggie. Wtedy wydawało jej się to zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

*

Mark Price był świeżo upieczonym absolwentem college'u, ale wyglądał jak licealista. Początkowo Maggie sądziła, że jest kolejnym z jej „fanów”, była to jednak tylko część prawdy. Mark przyznał, że usłyszał o niej dzięki internetowym nagraniom – najbardziej lubił nagrania wideo, które wrzucała do sieci – lecz przyniósł też swój życiorys. Wyjaśnił, że szuka pracy, a świat sztuki wydaje mu się szczególnie pociągający. „Sztuka i fotografia – dodał – pozwalają wyrażać poglądy w taki sposób, w jaki słowa nie są w stanie tego zrobić”.

Mimo wątpliwości co do zatrudniania kogoś ze swych fanów Maggie jeszcze tego samego dnia porozmawiała z nim i stwierdziła, że Mark Price dobrze przygotował się do tego spotkania. Wiedział sporo o Trinitym i jego pracach; wspomniał nawet o instalacji, którą prezentowano w Muzeum Sztuki Nowoczesnej, i drugiej, wystawionej na uniwersytecie New School; z miną człowieka znającego się na rzeczy przyrównał je do późniejszych prac Roberta Rauschenberga. Nie była zaskoczona, gdy okazało się, że jego wiedza na temat jej prac jest równie dogłębna i imponująca. A jednak, choć zadowolająco odpowiedział na wszystkie jej pytania, wciąż miała pewne

wątpliwości. Zastanawiała się, czy rzeczywiście zależy mu na pracy w galerii, czy też jest kolejną osobą, która chce z bliska przyglądać się jej tragedii.

Gdy spotkanie dobiegło końca, poinformowała go, że aktualnie nie szukają pracowników – formalnie rzecz biorąc, była to prawda, choć pozostawało to tylko kwestią czasu – na co zapytał uprzejmie, czy mimo wszystko zechce przyjąć jego podanie. Myśląc o tym później, uznała, że oczarowało ją, w jaki sposób to sformułował. „Czy mimo wszystko zechce pani przyjąć moje podanie?”. Zabrzmiało to staroświecko i tak uprzejmie, że uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę po dokument.

W tym samym tygodniu zamieściła ofertę pracy na stronach związanych ze sztuką i wykonała kilka telefonów do innych galerii, informując, że poszukuje pracownika. Na skrzynkę zaczęły spływać podania o pracę i Luanne spotkała się z sześciorgiem kandydatów, podczas gdy Maggie, wstrząsana torsjami, dochodziła do siebie w domu po pierwszym zastrzyku. Tylko jedna kandydatka przeszła pierwszy etap rozmowy kwalifikacyjnej, ale gdy nie pojawiła się na drugim, została skreślona z listy. Sfrustrowana Luanne odwiedziła Maggie, która od kilku dni nie wychodziła z mieszkania. Leżąc na kanapie, sączyła koktajl lodowo-owocowy, który przyniosła jej Luanne – była to jedna z niewielu rzeczy, które mogła jeszcze przekłknąć.

– Aż trudno uwierzyć, że nie możemy znaleźć nikogo odpowiedniego do pracy w galerii. – Maggie pokręciła głową.

– Brakuje im doświadczenia albo kompletnie nie znają się

na sztuce – powiedziała Luanne.

Z tobą było podobnie, mogła jej przypomnieć Maggie, ale ugryzła się w język. Luanne okazała się skarbem – jako przyjaciółka i pracownica – prawdziwym darem niebios. Ciepła i opanowana, już dawno przestała być tylko koleżanką z pracy.

– Ufam ci, Luanne. Zaczniemy od początku.

– Jesteś pewna, że nie było nikogo, z kim warto by się spotkać? – spytała Luanne żalosnym głosem.

Z jakiegoś powodu Maggie przyszedł do głowy Mark Price, który tak uprzejmie zapytał, czy mimo wszystko zechce przyjąć jego podanie.

– Uśmiechasz się – zauważyła Luanne.

– Wcale nie.

– Potrafię rozpoznać, kiedy ktoś się uśmiecha. O czym pomyślałaś?

Maggie upiła kolejny łyk koktajlu i chwilę zwlekała, ale w końcu postanowiła powiedzieć Luanne o Marku.

– Zanim zamieściliśmy ogłoszenie, do galerii przyszedł młody człowiek – zaczęła i opisała przebieg spotkania. – Wciąż mam co do niego pewne wątpliwości, ale jego podanie leży pewnie gdzieś na moim biurku. – Wzruszyła ramionami. – Nie wiem nawet, czy wciąż jest zainteresowany.

Kiedy Luanne dowiedziała się, co sprawiło, że Mark zainteresował się pracą w galerii, zmarszczyła brwi. Lepiej niż ktokolwiek inny wiedziała, z jakiego powodu ludzie nagle zaczęli przychodzić do galerii, a ci, którzy widzieli nagrania Maggie, często postrzegali ją jako swoją powierniczkę, kogoś,

kto okaże im zrozumienie i współczucie. Pragnęli podzielić się z nią swoimi historiami, swoim cierpieniem, i opowiedzieć jej o stracie, jakiej doświadczyli. I chociaż Maggie chciała ich pocieszyć i wesprzeć, często okazywało się to ponad jej siły, zwłaszcza że sama ledwie się trzymała. Luanne robiła, co mogła, żeby uchronić ją przed tymi najbardziej namolnymi.

– Przejrzę jego podanie i porozmawiam z nim – odparła. – Potem zdecydujemy, co dalej.

W następnym tygodniu Luanne skontaktowała się z Markiem. Ich pierwsza rozmowa doprowadziła do dwóch kolejnych, z których jedna odbyła się w obecności Trinity’ego. Opowiadając o nich potem Maggie, Luanne rozplýwała się w zachwytach nad chłopakiem, ale Maggie uparła się, że sama chce jeszcze z nim porozmawiać. Dopiero cztery dni później poczuła się na siłach, żeby pojechać do galerii. Mark Price zjawił się punktualnie. Miał na sobie garnitur, w ręce ścisnął segregator. Walcząc z mdłościami, przejrzała jego życiorys. Zauważyła, że pochodzi z Elkhart w Indianie, a kiedy zobaczyła, w którym roku ukończył Uniwersytet Northwestern, dokonała w głowie szybkich obliczeń.

– Masz dwadzieścia dwa lata?

– Tak.

Uczesany z przedziałkiem, z niebieskimi oczami i twarzą dziecka wyglądał na zadbanego nastolatka gotowego pójść na studniówkę.

– I ukończyłeś teologię?

– Tak.

– Dlaczego teologia?

– Mój ojciec jest pastorem – wyjaśnił. – Chcę zrobić dyplom z teologii i pójść w jego ślady.

Gdy to powiedział, uświadomiła sobie, że wcale nie jest tym zaskoczona.

– Skąd więc zainteresowanie sztuką, skoro zamierzasz zostać pastorem?

Złączył czubki palców, jakby zastanawiał się nad doбором słów.

– Zawsze uważałem, że sztuka i wiara mają ze sobą wiele wspólnego. Obie pozwalają ludziom zgłębiać własne emocje i znajdować odpowiedzi na pytanie: czym jest dla mnie sztuka. Prace pani i Trinity’ego zawsze zmuszają mnie do myślenia i co ważniejsze, towarzyszy temu zdziwienie. Tak samo jest z wiarą.

Była to dobra odpowiedź, lecz Maggie wciąż podejrzewała, że Mark nie mówi jej całej prawdy. Starając się o tym nie myśleć, kontynuowała rozmowę, zadając kolejne standardowe pytania o doświadczenia zawodowe, znajomość fotografii i współczesnego rzeźbiarstwa. W końcu odchyliła się na krzesło.

– Dlaczego sądzisz, że nadajesz się do tej pracy?

Nie sprawiał wrażenia zdenerwowanego jej pytaniami.

– Przede wszystkim, kiedy tylko poznałem panią Sommers, poczułem, że dobrze by nam się razem pracowało. Po naszej rozmowie spędziłem, za jej zgodą, trochę czasu w galerii, zgromadziłem materiały i zapisałem kilka spostrzeżeń na temat obecnie wystawianych prac. – Pochylił się i podał jej segregator. – Pani Sommers również dostała egzemplarz.

Maggie przekartkowała zawartość segregatora. Zatrzymała wzrok na przypadkowej stronie i przeczytała fragment dotyczący zdjęcia, które zrobiła w Dżibuti w 2011 roku, kiedy ten kraj dotknęła susza, jedna z najgorszych od dziesiętków lat. Na pierwszym planie leżał szkielet wielbłąda, a za nim widać było trzy rodziny w cudownie barwnych strojach. Uśmiechnięci ludzie szli wyschniętym korytem rzeki, a nad ich głowami, na niebie, które zachodzące słońce zmieniło w pomarańczowoczerwony dywan, gromadziły się burzowe chmury. Zbielałe kości szkieletu i spękana ziemia świadczyły o długotrwałej suszy.

Komentarze Marka były napisane z zaskakującą finezją i wyrażały dojrzałe zrozumienie dla jej artystycznych intencji; próbowała pokazać nieprawdopodobną wręcz radość pośród ogromu rozpacz i uświadomić odbiorcom, jak niewiele znaczymy w starciu z kapryśną potęgą przyrody. Mark doskonale ubrał to w słowa.

Zamknęła segregator, wiedząc, że nie ma potrzeby przeglądać dalej.

– Widzę, że odrobiłeś pracę domową, a biorąc pod uwagę twój wiek, wydajesz się zdumiewająco kompetentny. Ale jest coś jeszcze. Ciekawi mnie prawdziwy powód, dla którego chcesz tu pracować.

Uniósł brwi.

– Uważam, że pani fotografie są nadzwyczajne. Podobnie jak rzeźby Trinity’ego.

– To wszystko?

– Nie bardzo rozumiem, o co pani chodzi.

– Będę szczerą. – Odetchnęła głęboko. Była zbyt zmęczona, zbyt schorowana i zostało jej zbyt mało czasu, żeby owijać w bawełnę. – Przyniosłeś życiorys, zanim zamieściliśmy ogłoszenie, że szukamy pracowników, a do tego przyznałeś, że lubisz moje nagrania. Niepokoi mnie to, bo ludziom, którzy oglądali moje wideo, wydaje się czasem, że łączy mnie z nimi jakaś więź. Nie mogę pozwolić, by ktoś taki pracował w galerii. – Uniosła brwi. – Może myślisz, że zostaniemy przyjaciółmi i będziemy odbywać długie poważne rozmowy? To raczej wykluczone. Wątpię, żebym często tu bywała.

– Rozumiem – odrzekł spokojnie. – Na pani miejscu pewnie czułbym to samo. Mogę jedynie zapewnić, że zamierzam wyłącznie być doskonałym pracownikiem.

Nie podjęła decyzji od razu. Przespała się z nią, a nazajutrz naradziła się z Luanne i Trinitym. Mimo jej wątpliwości postanowili dać mu szansę i z początkiem maja Mark rozpoczął pracę w galerii.

Na szczęście od tej pory nie dał Maggie ani jednego powodu, by żałowała swojej decyzji. Przez całe lato przechodziła chemioterapię i spędzała w galerii zaledwie kilka godzin w tygodniu. W tych rzadkich chwilach Mark zachowywał się na wskroś profesjonalnie. Witał ją radośnie, uśmiechał się serdecznie i zawsze zwracał się do niej „pani Dawes”. Nigdy nie spóźnił się do pracy, nigdy nie zadzwonił, że jest chory, i pukał do drzwi jej gabinetu tylko wtedy, gdy jakiś kolekcjoner albo inny klient chciał z nią porozmawiać, a on uznał, że jest

to na tyle ważne, żeby zawracać jej głowę. Być może mając w pamięci ich rozmowę, nigdy nie wspominał o jej ostatnich nagraniach ani nie zadawał żadnych osobistych pytań. Od czasu do czasu wyrażał nadzieję, że Maggie czuje się lepiej, ale nie przeszkadzało jej to, bo nigdy nie ciągnął jej za język, tylko czekał, aż sama zdecyduje, czy chce powiedzieć coś więcej.

Przede wszystkim jednak był doskonałym pracownikiem. Zawsze uprzejmy i miły wobec klientów, dyskretnie odprowadzał do wyjścia fanów Maggie i miał znakomite wyniki w sprzedaży, prawdopodobnie dlatego, że nie był ani trochę nachalny. Odbierał telefon zwykle po drugim, trzecim dzwonku i zanim wysłał zamówione przez internet reprodukcje, bardzo starannie je pakował. Zazwyczaj zostawał w galerii godzinę dłużej, żeby zrobić wszystko, co w danym dniu miał zaplanowane. Luanne była nim tak zachwycona, że w grudniu ze spokojnym sumieniem wyjechała na miesiąc z córką i wnukami na Maui. Była to wycieczka, którą odbywała niemal co roku, odkąd zaczęła pracować w galerii.

Maggie uświadomiła sobie, że wcale jej to nie zdziwiło. Zdumiało ją natomiast, że w ciągu kilku miesięcy jej wątpliwości co do Marka powoli ustąpiły miejsca rosnącemu zaufaniu.

*

Maggie nie potrafiła wskazać, kiedy dokładnie się to stało. Niczym sąsiedzi z mieszkania obok, regularnie korzystający z tej samej windy, oboje zaczęli czuć się swobodnie w swoim towarzystwie, a ich serdeczne relacje przerodziły się w zażyłość.

We wrześniu, zaraz po tym, jak doszła do siebie po ostatnim zastrzyku, zaczęła spędzać w galerii więcej czasu. Zwyczajne powitania przeszły niepostrzeżenie w pogawędki, które stawały się coraz bardziej osobiste. Czasami te rozmowy odbywały się w małym pokoju socjalnym obok gabinetu Maggie, innym razem w galerii, kiedy akurat nie było tam nikogo. Zwykle dochodziło do nich, gdy po zamknięciu wszyscy troje pakowali reprodukcje zamówione przez telefon albo przez stronę galerii. Luanne lubiła opowiadać o kiepskich wyborach randkowych byłego męża, o dzieciach i wnukach. Maggie i Mark z chęcią słuchali jej opowieści, zwłaszcza że Luanne była zabawna. Od czasu do czasu któreś z nich przewracało oczami na coś, co powiedziała („Mam nadzieję, że mój były płaci za wszystkie operacje plastyczne tej tandetnej naciągaczki”), na co drugie uśmiechało się dyskretnie – drobne oznaki porozumienia, czytelne tylko dla nich dwojga.

Zdarzało się jednak, że Luanne musiała opuścić galerię zaraz po zamknięciu. Mark i Maggie pracowali wtedy razem i stopniowo dowiadywała się o nim coraz więcej, choć on wciąż powstrzymywał się przed zadawaniem jej osobistych pytań. Opowiedział jej o rodzicach i dzieciństwie, które kojarzyły się jej z ilustracjami Normana Rockwella, o bajkach na dobranoc, hokeju i baseballu, o mamie i tacie, którzy oglądali każde szkolne przedstawienie, w jakim brał udział. Często mówił również o swojej dziewczynie, Abigail, która studiowała ekonomię na Uniwersytecie Chicagowskim. Podobnie jak on, dorastała w małym miasteczku – w jej przypadku było to Waterloo w stanie

Iowa – i Mark miał w telefonie mnóstwo ich wspólnych zdjęć. Abigail była uroczym rudzielcem ze Środkowego Zachodu; Mark wspomniał, że oświadczy się jej, gdy tylko ona obroni tytuł magistra. Słyszając to, Maggie roześmiała się.

– Po co brać ślub, kiedy oboje jesteście jeszcze tacy młodzi?
– spytała. – Dlaczego nie zaczekacie kilka lat?

– Bo to ta jedyna, kobieta, z którą chcę spędzić resztę życia
– odparł z powagą.

– Skąd wiesz?

– Czasami człowiek po prostu wie.

Im więcej Maggie się o nim dowiadywała, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że jego rodzice są szczęściarzami, mając takiego syna, a on jest szczęściarzem, mając takich rodziców. Był wyjątkowym młodzieńcem, odpowiedzialnym i miłym. Swoim zachowaniem przeczył stereotypowi leniwego roszczeniowego milenialsa. Ta rosnąca sympatia, którą do niego czuła, zdumiewała ją, zwłaszcza że tak niewiele ich łączyło. Jej młodość była... niezwykła, przynajmniej przez jakiś czas, a w jej relacjach z rodzicami wiele było napięć. A ona w niczym nie przypominała Marka. Podczas gdy on był pracowity i ukończył z wyróżnieniem jedną z najbardziej prestiżowych uczelni, jej nauka przychodziła z trudem; ledwie zdołała ukończyć trzy semestry w dwuletnim college'u przygotowującym do studiów wyższych. Gdy była w jego wieku, żyła chwilą i podejmowała spontaniczne decyzje, a w jego życiu wszystko wydawało się przemyślane i zaplanowane. Gdyby poznała go, kiedy była młodsza, pewnie nawet by na niego nie spojrzała. Mając

dwadzieścia kilka lat, notorycznie wiązała się z niewłaściwymi mężczyznami.

Mimo to czasami przypominał jej kogoś, kogo znała dawno, dawno temu i kto kiedyś był dla niej całym światem.

*

Jeszcze przed Świętem Dziękczynienia Maggie uznała Marka za członka galeriowej rodziny. Nie była z nim tak blisko jak z Luanne czy Trinitym – ich znała w końcu od lat – ale stał się dla niej kimś w rodzaju przyjaciela i dwa dni po święcie wszyscy czworo zostali w galerii po jej zamknięciu. Był sobotni wieczór, a ponieważ nazajutrz rano Luanne wylatywała na Maui, a Trinity na Karaiby, otworzyli butelkę wina pasującego do serów i owoców zamówionych przez Luanne. Maggie wzięła kieliszek, chociaż nie wyobrażała sobie, żeby mogła cokolwiek przełknąć.

Wznieśli toast za galerię – mieli za sobą wyjątkowo dobry rok – i przez kolejną godzinę swobodnie gawędzili. Pod koniec Luanne wręczyła Maggie kopertę.

– W środku jest prezent – powiedziała. – Otwórz to po moim wyjeździe.

– Ale ja nie mam nic dla ciebie.

– Nie szkodzi – odparła Luanne. – To, że przez ostatnie miesiące czułaś się lepiej, jest dla mnie najlepszym prezentem. Tylko otwórz to przed Bożym Narodzeniem.

Zapewniona przez Maggie, że tak zrobi, Luanne podeszła do patery z owocami i sięgnęła po truskawki. Tuż obok Trinity

rozmawiał z Markiem. Ponieważ bywał w galerii znacznie rzadziej niż Maggie, zadawał Markowi te same osobiste pytania, które ona zadawała chłopakowi przez ostatnich kilka miesięcy.

– Nie wiedziałem, że grałeś w hokeja – powiedział Trinity.
– Jestem wielkim fanem Islandersów, chociaż od wieków nie zdobyli Pucharu Stanleya.

– To świetny sport. Grałem do czasu, aż zacząłem studia na Northwestern.

– Nie mają tam drużyny?

– Nie byłem dość dobry, żeby grać w drużynie uniwersyteckiej – wyznał Mark. – Moi rodzice na pewno się tym nie zmartwili. Chyba żadne z nich nie tęskniło za meczami.

– Przyjadą do ciebie na święta?

– Nie. Tata i kilkudziesięciu wiernych z jego kościoła lecą w tym czasie do Ziemi Świętej. Nazaret, Betlejem i tak dalej.

– A ty nie chciałeś z nimi lecieć?

– To ich marzenie, nie moje. Poza tym jestem potrzebny tutaj.

Maggie zauważyła, że Trinity zerknął w jej stronę i zaraz przeniósł wzrok z powrotem na Marka. Nachylił się ku niemu i szepnął coś. Chociaż nie słyszała jego słów, wiedziała dokładnie, co powiedział, bo chwilę wcześniej wyraził swoje obawy.

„Miej oko na Maggie pod naszą nieobecność. Trochę się o nią martwimy”.

W odpowiedzi Mark tylko pokiwał głową.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).